

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Jane Austen

SANDITON

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2001**

Rozdział I

Powóz dżentelmena i damy – którzy podróżując z Tonbridge ku części wybrzeża Sussex, położonej między Hastings a Eastbourne, gnani interesami porzucili główny trakt i podążyli wyjątkowo nierówną drogą – przewrócił się w czasie mozolnej wspinaczki po na wpół kamienistym, a na wpół piaszczystym zboczu wzniesienia. Wypadek zdarzył się nieopodal zabudowań jedyne mieszkającego w tej okolicy dżentelmena; poproszony o skręcenie w tym kierunku stangret uznał nawet początkowo jego dom za cel podróży i z wyraźną niechęcią usłuchał polecenia, żeby go ominąć. Gderał przy tym tak bardzo i tak silnie szarpał lejce oraz zaciął konie, że (gdyby nie to, iż droga zaraz za domem bezsprzecznie stała się o wiele gorsza niż dotąd) można by mniemać, iż wywrócił powóz celowo – zwłaszcza że nie należał on wcale do jego chlebowdawcy. Stangret był wszelako poza wszelkimi podejrzeniami, gdyż już wcześniej wyraził rozumne i złowieszcze przekonanie, iż żadne koła – poza kołami chłopskiej furmanki – nie wytrzymają dalszej podróży tym szlakiem. Upadek złagodziła na szczęście nieznaczna prędkość i niewielka szerokość drogi, toteż, kiedy dżentelmen wy dostał się z powozu i pomógł także opuścić go swej towarzyszce, okazało się, że poza wstrząsem i siniakami żadne z nich nie doznało poważniejszych obrażeń. Mimo to wysiadając, dżentelmen zwichnął nogę – z czego, za sprawą bólu, szybko zdał sobie sprawę. Zmuszony przerwać zarówno besztanie stangreta, jak i składanie gratulacji sobie i żonie, usiadł na skraju drogi.

– Coś jest nie w porządku – powiedział, dotykając kostki. – Ale nie martw się, moja droga – dodał, patrząc z uśmiechem na żonę. – Wiesz sama, że nie mogło się to stać w lepszym miejscu. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Kto wie, czy tego właśnie nie powinniśmy byli sobie życzyć. Wkrótce przestanę cierpieć. Wierzę, że tu właśnie czeka mnie ozdrowienie – oświadczył, wskazując biednie wyglądającą chatę, romantycznie skrytą wśród drzew porastających pobliskie wzgórze. – Czy nie masz wrażenia, że to jest właśnie to miejsce?

Jego żona gorąco pragnęła, by tak właśnie było – ale mimo to stała przełęczona i niespokojna, niezdolna do działania. Ulgi doznała dopiero na widok zbliżających się ludzi. Wypadek został dostrzeżony z rozciągającej się nieopodal łąki, skąd teraz szło ku nim kilku krzepkich mężczyzn w średnim wieku. Byli to: właściciel okolicznych pól, który akurat znalazł się wśród swoich robotników, oraz trzech czy czterech najsilniejszych kosiarzy, wezwanych przezeń na pomoc. Nieco dalej zebrała się reszta pracujących w polu żniwiarzy: kobiety, mężczyźni i dzieci.

Pan Heywood, bo tak nazywał się gospodarz, pospieszył z uprzejmym powitaniem. Był przejęty wypadkiem i zdumiony, że ktoś w ogóle próbował przebyć tę drogę powozem; natychmiast też ofiarował się z pomocą. Jego uprzejmość została przyjęta z wdzięcznością, a kiedy dwaj mężczyźni pomogli stangretowi na nowo postawić powóz na kołach, podróżny rzekł:

– Mam doprawdy u pana wielki dług, sir, i proszę wybaczyć, że chciałbym zaciągnąć jeszcze większy. Obrażenie, jakiego doznała moja noga, jest bez wątpienia błahostką, ale w takich wypadkach lepiej zawsze zasięgnąć porady lekarza. A ponieważ stan drogi uniemożliwia mi udanie się do jego domu o własnych siłach, wdzięczny będę, jeśli bezzwłocznie pošle pan po niego jednego ze swych ludzi.

– Po lekarza? – zawahał się pan Heywood. – Obawiam się, że nie mamy pod ręką nikogo takiego. Ale, śmiem twierdzić, świetnie poradzimy sobie i bez niego.

– Nie, sir. Skoro on sam nie mieszka nigdzie w pobliżu, z powodzeniem zastąpi go zwykły felczer. Może nawet będzie lepszy. Naprawdę wolę zobaczyć się z felczerem. Jestem pewien, że któryś z tych dobrych ludzi będzie w stanie sprowadzić go tu w ciągu trzech minut. Nie muszę pytać, czyj to dom – dodał, zerkając na pobliską chatę – bo poza pańską posesją nie mijaliśmy żadnej rezydencji godnej dżentelmena.

Na twarzy pana Heywooda odmalowało się zdumienie.

– A to dopiero! – wykrzyknął. – Spodziewa się pan znaleźć medyka w tej chałupie? Zapewniam pana, że nigdy w naszej parafii nie mieszkał żaden lekarz ani felczer...

– Pan wybaczy – przerwał mu podróżny – ale muszę zanegować. Być może zresztą, z powodu rozległości parafii lub jakichś innych przyczyn, nie wie pan, że... Ale, ale... może to ja się pomyliłem, co do miejsca? Czy to jest Willingden?

– Tak, sir, to z pewnością jest Willingden.

– W takim razie, sir, udowodnię, że macie w swojej parafii lekarza – niezależnie od tego, czy pan o tym wie, czy nie. Proszę, by wyświadczył mi pan zaszczyt – dodał, wyciągając swój pugilares – i zerknął na te notatki. Wyciąłem je osobiście z „Morning Post” i „Kentish Gazette” nie dalej niż wczoraj rano w Londynie. Upewni się pan, że nie zmyślam, i przy okazji dowie, że lekarze w pańskiej parafii zaniechali ze sobą współpracy, bo wysokie zyski i ogromne doświadczenie tych panów skłoniły ich do samodzielnej praktyki. Wszystko to wyczerpująco tu opisano – zapewnił, podając rozmówcy dwa prostokątne wycinki.

– Zapewniam pana, sir – odrzekł z dobrodusznym uśmiechem pan Heywood – że nawet gdyby pokazał mi pan wszystkie gazety wydrukowane przez ostatni tydzień w całym królestwie, nie przekona mnie pan, iż w Willingden jest jakiś lekarz. Sądzę bowiem, że żyjąc tutaj od urodzenia, a to znaczy przez pięćdziesiąt siedem lat, musiałbym wiedzieć o istnieniu kogoś takiego. A przynajmniej mogę pana zapewnić, że żaden lekarz nie ma u nas wysokich zysków. Wprawdzie, gdyby dżentelmeni częściej próbowali jeździć tędy pocztowymi karetami, zamieszkanie w domu na wzgórzu mogłoby być dla lekarza całkiem niezłym interesem, na razie jednak, proszę mi wierzyć, że wbrew przyzwoitemu wrażeniu, które ta chata robi z daleka, nie różni się ona niczym od dwuizbowych chałup, jakich pełno w naszej parafii. Jedną jej izbę zajmuje mój pastuch, w drugiej mieszkają trzy stare kobiety. – To mówiąc sięgnął po gazetowe wycinki i rzuciwszy na nie okiem dodał: – Chyba mogę wyjaśnić to, co tu napisano, sir. Pomylił pan miejsce. W naszym hrabstwie są dwie miejscowości o nazwie Willingden – i pańskie notatki dotyczą tej drugiej. Właściwie zwie się ona Great Willingden lub Willingden Abbots i leży siedem mil dalej, po drugiej stronie Battle – całkiem w dole, w Weald, a my, sir, nie jesteśmy w Weald – dodał z niejaką dumą w głosie.

– A w żadnym wypadku nie w dole – odrzekł wesoło podróżny. – Wspinaczka na pańskie wzgórze zajęła nam blisko pół godziny. No cóż, jak pan zauważył, popełniłem okropnie głupią pomyłkę. Wszystko stało się tak szybko... Te artykuły wpadły mi w oko dopiero na pół godziny przed opuszczeniem miasta, kiedy zaś wokół panuje pośpiech i zamieszanie, niczego nie można się porządnie dowiedzieć. Myśli się tylko o powozie, który podjechał pod drzwi. Krótkie poszukiwania na mapie całkowicie mnie przy tym usatysfakcjonowały: okazało się, że jesteśmy akurat o milę lub dwie od Willingden. Nie szukałem więc dłużej... Tak mi przykro, moja droga – zwrócił się do żony – że wpakowałem cię w tę kabałę. Proszę jednak, byś nie niepokoila się o moją nogę. Kiedy nią nie ruszam, w ogóle mnie nie boli. Skoro zaś tym dobrym ludziom udało się na nowo postawić powóz oraz obrócić konie, najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, będzie powrót na gościniec i podróż do Hailsham – a stamtąd do domu. Jazda z Hailsham zabierze nam nie więcej niż dwie godziny, a kiedy znajdziemy się u siebie, lekarstwo będzie pod ręką! Odrobina naszego orzeźwiającego morskiego powietrza

natychmiast postawi mnie na nogi. Wierz mi, moja droga, tak właśnie działa morze. Słone powietrze i kąpiele są tym, czego mi trzeba. Mój organizm już mi to powiedział.

Pan Heywood przerwał mu w tym momencie, prosząc jak najżyczliwiej, by podróżny nie myślał o ponownym wyruszeniu w drogę, dopóki jego kostka nie zostanie zbadana i nim oboje małżonkowie nieco nie odpoczną w jego domu, dokąd serdecznie ich zaprosił.

– Jesteśmy dobrze zaopatrzeni w środki stosowane powszechnie na sińce i skaleczenia – powiedział. – A moja żona i córki z przyjemnością oddadzą się na państwa usługi i zrobią wszystko, co w ich mocy, by ulżyć panu w cierpieniu.

Ostry ból, który towarzyszył każdej próbie poruszenia nogą, skłonił podróżnego, by docenił korzyści płynące z otrzymania natychmiastowej pomocy.

– Cóż, moja droga, myślę, że tak będzie rzeczywiście dla nas najlepiej, prawda? – zasięgnął rady żony. – Zanim jednak skorzystam z pańskiej gościnności, sir – zwrócił się ponownie do Heywooda – pragnę powiedzieć, kim jestem i zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie zrobić mogła na panu niezręczna sytuacja, w której się znalazłem. Nazywam się Parker i przybywam z Sanditon. Ta dama zaś to pani Parker, moja żona. Wracamy właśnie do domu z Londynu. Moje nazwisko – choć bynajmniej nie jestem pierwszym w rodzinie właścicielem ziemskim, który posiada majątek w parafii Sanditon – może być tak daleko od wybrzeża nikomu nie znane. Ale o samym Sanditon na pewno pan słyszał. Wszyscy słyszeli o Sanditon, tym wspaniałym, nowym, rozwijającym się kąpielisku. To najcudowniejsze miejsce na całym wybrzeżu Sussex. Natura hojnie je obdarowała, a i ludzie z pewnością wkrótce je sobie upodobają.

– Owszem, słyszałem o Sanditon – odparł pan Heywood. – Co pięć lat słyszymy o jakimś nowo wybudowanym nad morzem mieście, które staje się bardzo modne. Jak znajdują się chętni do zajęcia choćby połowy miejsc w hotelach, pozostaje dla mnie zupełną zagadką! Gdzie są ludzie, którzy mają czas i pieniądze, żeby tam jeździć? Poza tym kurorty przynoszą szkodę wsi; sprawiają, że rosną ceny żywności i biedota żyje w jeszcze większej nędzy.

– Ależ wcale nie – zaprzeczył gorąco pan Parker. – Zapewniam pana, że jest wręcz przeciwnie. To powszechny pogląd – ale jakże błędny. Pańskie słowa mogą dotyczyć wielkich osad – na przykład Brighton, Worthing lub Eastbourne – ale nie tak maleńkiej wioski jak Sanditon, która z racji swych nieznaczących rozmiarów nie doświadcza żadnych bolączek cywilizacji. Nie dokonuje się u nas przesadnie szybka rozbudowa, nie mamy problemów ze zbyt licznymi sklepami, placami zabaw czy zbyt wielkim zapotrzebowaniem na towary. To kurort, gdzie zawsze znajdzie pan najlepsze towarzystwo. Osiedle tam od dawna zacne rodziny trzymają nad wszystkim pieczę; dbają też o biednych i wszelkimi sposobami starają się uczynić ich życie lepszym. Nie, sir, zapewniam pana, że Sanditon nie jest miejscem...

– Nie występowałem przeciwko żadnej konkretnej miejscowości, sir – przerwał mu pan Heywood. – Myślę po prostu, że za dużo ich już powstało na naszym wybrzeżu. Ale czas, żebyśmy pana stąd zabrali...

– Za dużo podobnych miejsc na naszym wybrzeżu! – powtórzył pan Parker. – Co do tego, sir, mogę się z panem w zupełności zgodzić. Jest ich w każdym razie dość; nie potrzeba budować nowych! Każdy – niezależnie od upodobań i zasobności kieszeni – znajdzie coś dla siebie. A ci, którzy chcą zwiększyć liczbę uzdrowisk, postępują moim zdaniem absurdalnie i szybko padną ofiarą własnych błędnych kalkulacji. Takie miejsce jak Sanditon było potrzebne i pożądane, wybrane przez samą naturę, która dała nam wyraźne wskazówki. Najwspanialsza, najczystsza morska bryza na całym wybrzeżu – wszyscy są to gotowi przyznać. Cudowne kąpiele, doskonały piasek, głęboka woda w odległości dziesięciu jardów od brzegu... I żadnego mułu, wodorostów, oślizgłych skał. Nigdy chyba nie istniało lepsze miejsce na kurort. Tego właśnie potrzeba tysiącom ludzi. A w dodatku rozsądna odległość od Londynu! O całą milę bliżej niż Eastbourne. Zważ pan, sir, jaka korzyść płynie z oszczędzenia jednej mili w trakcie długiej podróży. Jeśli zaś chodzi o Brinshore, o którym na pewno pan pomyślał

– bo zeszłego roku dwóch czy trzech przedsiębiorców rozważało już rozbudowę tej nędznej wioski – leży ono pomiędzy nieruchomymi bagnami, ponurymi wrzosowiskami i stałym morskim prądem, który przynosi ze sobą wodorosty. Inwestycje w takim miejscu mogą przynieść tylko rozczarowanie. Bo któż zdrowo myślący mógłby polecać Brinshore? Wyjątkowo niezdrowy klimat, przysłowiowo już zniszczone drogi, niezwykle słona woda – w promieniu trzech mil od tego miejsca nie dostanie się filiżanki dobrej herbaty! A co się tyczy uprawy ziemi, jest tam tak zimno i nieprzyjemnie, że można co najwyżej sadzić kapustę. Wierzaj mi pan, sir, że to wierny opis Brinshore, ani trochę nie przesadzony, i jeśli słyszałeś coś innego...

– Nigdy w życiu nie słyszałem o tym miejscu – przerwał mu pan Heywood. – Nie wiedziałem nawet, że istnieje.

– Nie słyszał pan! Sama tedy widzisz, moja droga – rzekł pan Parker, z triumfem odwracając się ku żonie – jak to jest. Oto sława Brinshore! Ten dżentelmen nie słyszał nawet, że taka miejscowość istnieje. Prawdę mówiąc, sir, ciekaw jestem, czy dałoby się zastosować do Brinshore owe wersy z poematu Cowpera, w którym opisał on pobożną wieśniaczkę jako przeciwieństwo Woltera. „Do niej nie dotrze nigdy wieść o żadnej rzeczy, co dalej niż pół mili leży od jej domu”.

– Z całego serca się na to zgadzam, sir. Proszę sobie stosować, co się panu podoba. Chciałbym jednak zobaczyć coś zastosowanego na pańską nogę. A po minie pańskiej żony poznaję, że podziela ona moje zdanie i tak jak ja uważa, że nie powinniśmy tracić czasu. Oto i moje dziewczęta, które przybyły, by przemówić w imieniu własnym i swojej matki. – Istotnie, od strony domu nadchodziło właśnie kilka pań, za którymi dreptało parę służących. – Zacząłem się już zastanawiać, jakież to zajęcia je zatrzymały. Takie przygody jak pańska wywołują w podobnych naszymu odludnych miejscach sporą sensację. A teraz, sir, zobaczmy, jak najlepiej przenieść pana do domu.

Młode damy, które właśnie nadeszły, gorąco poparły propozycję ojca. Zrobiły to przy tym w tak niewymuszony, naturalny sposób, że przybysze ani trochę nie poczuli się skrepowani. Pani Parker przyjęła zaproszenie z ulgą, a i jej mąż nie miał nic przeciwko temu, by zeń skorzystać, nie wahali się więc ani chwili – zwłaszcza że powóz dawno już stał na powrót na kołach i okazało się, że upadek nie spowodował uszkodzeń, które uniemożliwiałyby wyruszenie nim w dalszą podróż. Pana Parkera zaniecono tedy do domu, a bryczkę przetoczono do pustej stodoły.

Rozdział II

Zawarta w tak niecodzienny sposób znajomość zacieśniła się bardzo szybko i podróżni pozostali w Willingden przez całe dwa tygodnie; kostka pana Parkera okazała się bowiem zwichnięta zbyt poważnie, by mógł wcześniej ruszyć w drogę. Trafił wszelako w bardzo dobre ręce. Heywoodowie byli nadzwyczaj szacowną rodziną, okazali przy tym swym gościom wiele troski – zarówno mężowi, jak i żonie. Nim się opiekowano i leczono, ją pocieszano i dodawano otuchy. A że wszystko to czyniono w miły, bezpretensjonalny sposób, każdy zaś dowód gościnności i życzliwości przyjmowany był tak, jak powinien – to znaczy wdzięczność jednej strony dorównywała dobrej woli drugiej, żadnej przy tym nie brakowało wykwinnych manier – obie rodziny szybko się polubiły.

Równie szybko gospodarze poznali mnóstwo szczegółów z życia pana Parkera, jego poglądy i usposobienie, ów szczery człowiek mówił bowiem wszystko, co pomyślał, nawet zaś gdy nie opowiadał o sobie, rozmowa z nim i tak pozwalała dowiedzieć się wielu rzeczy na jego temat. Był wielkim entuzjastą swojej miejscowości; uczynienie z Sanditon modnego

kąpieliska wydawało się celem jego życia. Jeszcze kilka lat temu nie różniło się ono od innych, zwyczajnych, spokojnych i bezpretensjonalnych wsi, ale pewien przypadek oraz korzyści płynące z jego położenia natchnęły tamtejszych właścicieli ziemskich myślą o przekształceniu go w kurort. Poczynili inwestycje, planowali i budowali, rozsławiając imię swej osady. Pan Parker nie potrafił wprost myśleć i mówić o niczym innym.

Z opowiadań gościa Heywoodowie dowiedzieli się, że liczy on sobie trzydzieści pięć lat, od siedmiu zaś jest – bardzo szczęśliwie – żonaty. Doczekał się też czwórki przemiłych dzieci. Pochodzi z szacownej rodziny i posiada pokaźny – choć nie olbrzymi – majątek. Nie ma żadnego zawodu – i nie jest mu to potrzebne, gdyż jako najstarszy syn odziedziczył dobra, nagromadzone przez kilka pokoleń przodków. Ma czworo rodzeństwa: dwie niezamężne siostry i dwóch – również nieżonatych – braci. Wszyscy są niezależni materialnie. Majątek starszego z braci, dzięki dodatkowym spadkom, dorównuje nawet jego własnemu.

Zboczenie z głównej drogi w poszukiwaniu lekarza, które tak bardzo zdziwiło Heywoodów, znalazło proste wyjaśnienie. Nie wynikało wcale z zamiaru zwichnięcia kostki lub odniesienia jakichkolwiek innych ran, by dać lekarzowi możliwość zarobku, ani (jak w pierwszej chwili przypuszczał pan Heywood) z planu wejścia z nim w spółkę. Pan Parker miał nadzieję znaleźć w tej okolicy lekarza, który gotów byłby osiedlić się w Sanditon. Wycięte z gazet artykuły sugerowały, że w Willingden ktoś odpowiedni się znajdzie. Pan Parker żywił przekonanie, iż stała obecność medyka przysporzy miastu korzyści, wywołując wielki napływ gości. Miał ważne powody sądzić, że zeszłego roku jedna rodzina zrezygnowała z przyjazdu do Sanditon właśnie dlatego, że nie mieszkał tam żaden lekarz – a kto wie, czy takich rodzin nie było o wiele więcej. Przecież nawet jego własne siostry, mimo że zapraszał je do siebie na lato, nie chciały zaryzykować pobytu w miejscu, gdzie w razie potrzeby nie mogłyby otrzymać natychmiastowej pomocy lekarskiej.

Pan Parker był bez wątpienia sympatycznym, serdecznym, oddanym rodzinie człowiekiem, troszczącym się o żonę, dzieci, braci i siostry. Heywoodom nietrudno było polubić tego liberalnego, wylewnego dżentelmena, kierującego się bardziej wyobraźnią niż chłodnym osądem. Pani Parker – uprzejma, miła, łagodna kobieta – była wprost wymarzoną żoną dla tak wrażliwego człowieka. Niestety, nie potrafiła się nigdy zdobyć na podjęcie żadnej samodzielnej decyzji, czego jej mąż czasami potrzebował, i przy każdej okazji czekała, by ktoś nią pokierował. Bez względu na to, czy mąż ryzykował swój majątek, czy też zwichnął kostkę, nie była w stanie zaradzić sytuacji.

Sanditon było dla Parkera drugą rodziną: niemal równie drogą jego sercu, jak żona i dzieci, a z pewnością bardziej go pochłaniającą. Mógł rozprawiać o nim bez końca, z sympatią o wiele większą niż ta, jaką zwykle cieszy się miejsce urodzenia, rezydencja czy posiadane dobra. To było jego życie: jego konik, pasja, duma i nadzieja na przyszłość. Niczego nie pragnął tak bardzo, jak zaprosić tam swoich przyjaciół z Willingden. Zapraszał ich równie bezinteresownie i serdecznie, jak bezinteresownie i serdecznie oni udzielili mu gościny pod swoim dachem.

Błagał, by obiecali mu wizytę i przybyli tak licznie, jak tylko będzie to możliwe. Uważał za oczywiste, że morskie powietrze musi dobrze podziałać nawet na ludzi całkowicie zdrowych. Był przekonany, iż nikt nie może czuć się naprawdę dobrze (choćby nawet chwilowo, dzięki ćwiczeniom i pogodzie ducha, zachował oznaki dobrego samopoczucia), jeśli co roku nie spędzi przynajmniej sześciu tygodni nad morzem. Morskie powietrze i kąpiele są wprost niezawodne, stanowią lekarstwo na wszelkie dolegliwości. Leczą choroby żołądka, płuc i krwi, zapobiegają skurczom, gruźlicy, zakażeniom i reumatyzmowi. Nad morzem nikt się nie przeziębia, nikomu nie brakuje apetytu, energii ani siły. Wszystkim dopisuje zdrowie, wszyscy też czują się wypoczęci, pokrzepieni i ożywieni – w zależności od tego, której z tych rzeczy najbardziej pragną, bo morze daje każdemu to, czego ten akurat

potrzebuje. Jeśli nie wystarcza morska bryza, cuda czynią kąpiele, jeśli zaś komuś nie służą kąpiele, widocznie natura postanowiła, że wyleczy go samo powietrze.

Elokwencja Parkera nie przyniosła wszelako efektów. Państwo Heywoodowie nigdy nie opuszczali domu. Pobrali się w bardzo młodym wieku i doczekali bardzo licznego potomstwa, ich podróże od dawna więc miały nader ograniczony zasięg. Hołdowali zresztą obyczajom dawniejszym niż wskazywałby na to ich wiek: poza dwiema podróżami rocznie do Londynu, by odebrać swoje dywidendy, pan Heywood nigdy nie ruszał się dalej niż mogły go zanieść własne nogi lub wypróbowany stary koń. Pani Heywood natomiast opuszczała dom tylko po to, by odwiedzać sąsiadów, i wykorzystywała w tym celu stary powóz, który pamiętał jeszcze dzień jej ślubu, a który dziesięć lat temu, gdy najstarszy syn osiągnął pełnoletność, wybito jedynie nowym suknem. Nie znaczy to, że Heywoodowie nie mieli przyzwoitego majątku, pozwalającego, w rozsądnych granicach, na godny ludzi szlachetnie urodzonych luksus. Stać by ich było na nowy powóz, lepszą drogę, spędzenie od czasu do czasu miesiąca w Tunbridge Wells lub – w razie objawów podagry – zimy w Bath. Wszelako utrzymanie, edukacja i wychowanie czternaściorga dzieci wymagało spokojnego, wolnego od zmian i zamieszania trybu życia i uniemożliwiała opuszczanie Willingden.

To, do czego początkowo zmuszały Heywoodów warunki, teraz uważali już za miły zwyczaj. Nigdy nie opuszczali domu i z dumą to podkreślali. Dalecy jednak od narzucania dzieciom własnych obyczajów starali się – tak często, jak to możliwe – wysyłać je „w świat”. Oni pozostawali w domu, ale dzieci mogły wyjeżdżać; rodzice zaś cieszyli się każdą zmianą, jaka mogła przynieść ich synom i córkom odpowiednie koneksje i znajomości. Kiedy więc państwo Parkerowie przestali nalegać na wizytę całej rodziny i poprosili, by choć jedna z córek gospodarzy udała się wraz z nimi do Sanditon, bez trudu uzyskali na to zgodę.

Zaproszona została panna Charlotta Heywood, miła, dwudziestodwuletnia dama, najstarsza spośród znajdujących się w domu dziewcząt. Ze wszystkich sióstr to ona najbardziej pomagała matce opiekować się gośćmi – najczęściej też z nimi przebywała i najlepiej ich poznała.

Zdrową jak rydz Charlotte czekała tedy wizyta u Parkerów, gdzie miała zażywać kąpielei i – o ile to tylko możliwe – zaprzyjaźnić się z nimi jeszcze bardziej. Wdzięczni goście mieli sprawić, że zakosztuje wszystkich rozkoszy Sanditon, a także kupi – w bibliotece, którą pan Parker gorąco chciał wesprzeć – nowe parasolki, rękawiczki i broszki dla siebie i sióstr.

Jedyną rzeczą natomiast, do jakiej dał się skłonić pan Heywood, była obietnica, że każdemu, kto zapyta go o radę, poleci pobyt w Sanditon i że za nic w świecie (o ile w ogóle można ręczyć za przyszłość) nie wyda nawet pięciu szylingów w Brinshore.

Rozdział III

Każda miejscowość powinna mieć swoją wielką damę. Wielką damą Sanditon była lady Denham. W czasie podróży z Willingden na wybrzeże pan Parker opowiedział o niej Charlotte jeszcze bardziej szczegółowo niż uczynił to wcześniej – bo i goszcząc u Heywoodów często o niej wspominał. Pan Parker grywał z nią w mariasza i uważał, że nie sposób mówić o Sanditon, nie wspominając o lady Denham. Była to bogata, przywiązująca wielką wagę do pieniędzy stara dama, która zdążyła już pochować dwóch mężów i teraz mieszkała razem z ubogą kuzynką. Charlotta już wcześniej знаła te wszystkie fakty, ale pewne szczegóły dotyczące losów i charakteru starej damy pozostawały dotąd dla niej tajemnicą. Teraz słuchanie o nich osładzało jej więc niewygodę i nudę, z jakimi wiązała się podróż wyboistą drogą przez rozległą wyżynę. Zyskiwała też dzięki temu wiedzę o osobie, z którą, jak należało oczekiwać, miała się wkrótce codziennie spotykać.

Lady Denham była niegdyś bardzo zamożną panną Brereton, urodzoną do życia w dostatku, ale nie do tego, by zdobyć staranne wykształcenie. Jej pierwszy mąż, pan Hollis, posiadał rozległe dobra ziemskie, z których znaczna część leżała w parafii Sanditon – i tam też znajdowała się jego rezydencja. Hollis był już starszym człowiekiem, kiedy panna Brereton go poślubiła; ona sama także miała już wtedy około trzydziestu lat. Trudno było z perspektywy czterech dziesięcioleci ocenić motywy, jakie skłoniły ją do tego małżeństwa, ale okazała się dla pana Hollisa tak troskliwą żoną, że ten, umierając, zostawił jej cały swój majątek.

Po kilku latach wdowieństwa wyszła za mąż ponownie. Świętej pamięci sir Harry'emu Denhamowi udało się wprawdzie skłonić ją, by przeniosła się do jego majątku – położonego nieopodal Sanditon Denham Park – ale zawiodły go nadzieje, że przez małżeństwo trwale wzbogaci swoją rodzinę: żona była zbyt ostrożna, ażeby w najmniejszym choćby stopniu zrezygnować z osobistego zarządzania swoimi dobrami. Toteż kiedy sir Harry rozstał się ze światem, wróciła do własnego domu w Sanditon, oświadczając, że choć nie zawdzięczała rodzinie drugiego męża niczego prócz tytułu, familia ta również niczego od niej nie uzyskala.

Jeśli chodzi o tytuł, prawdopodobnie to on właśnie skłonił lady Denham do powtórnego zamążpójścia. Pan Parker nie widział w tym nic złego, zwłaszcza że ów tytuł miał teraz bezcenną wartość.

– Lady Denham bywa czasami nieco zarozumiała – wyjaśnił Charlotte – ale nie w sposób irytujący. Niekiedy też posuwa się zbyt daleko w swym uwielbieniu dla pieniędzy. Ale to bardzo życzliwa kobieta i nader uprzejma sąsiadka. Czarujący, niezależny charakter. Jej wady można zaś w całości przypisać niedostatkom edukacji: ma dużo zdrowego rozsądku, ale brak jej oglądy. Cechuje ją bystrość umysłu i znakomite – jak na kobietę siedemdziesięcioletnią – zdrowie. W rozwój Sanditon zaangażowała się z godną podziwu energią, choć niekiedy daje dowody małostkowości. Nie potrafi, tak jak ja, wybiec myślą w przyszłość i niekiedy obawia się drobnych wydatków, nie bacząc, jak wielkie dochody przyniosłyby jej za rok czy dwa. No cóż, czasami nasze opinie się różnią, panno Heywood; do pewnych spraw mamy zupełnie inny stosunek. Poznała już pani moje zdanie na jej temat, ale ma pani prawo traktować je nieufnie. Dopiero poznawszy ją osobiście, wyrobi pani sobie własny osąd.

Pomimo braku towarzyskiej oglądy lady Denham rzeczywiście była wielką damą. Miała do zapisania w testamencie wiele tysięcy funtów i aż trzy grupy krewnych, o których nie powinna w nim zapomnieć: swoją własną rodzinę (która, co było całkiem uzasadnione, liczyła na trzydzieści tysięcy funtów, stanowiących niegdyś jej posag), prawnych spadkobierców pana Hollisa (którym pozostawała jedynie nadzieja, że inaczej niż on sam, uzna ona, iż ma wobec nich pewne zobowiązania) oraz członków rodziny Denhamów, których jej drugi mąż miał nadzieję wzbogacić swoim ożenkiem. Wszyscy oni, osobiście lub przez swych wysłanników, od dawna nachodzili ją co pewien czas, prosząc o pieniądze, pan Parker zaś nie wahał się zapewnić, że pośród tych trzech grup krewni pana Hollisa cieszyli się najmniejszymi, a krewni sir Harry'ego Denhama największymi względami starej damy. Ci pierwsi, jak sądził, sami narobili sobie szkody, wypowiadając po śmierci pierwszego męża lady Denham wiele niemądrych i niesprawiedliwych uwag pod adresem wdowy. Ci drudzy natomiast, nie dość, że należeli do rodziny, z którą koneksje stara dama wielce sobie ceniła, byli jej w dodatku znani od dziecka i zawsze znajdowali się w pobliżu, by okazując jej przywiązanie, dbać o własne interesy. Obecny baronet, sir Edward, rezydował na stałe w Denham Park i pan Parker nie wątpił, że on i mieszkająca razem z nim siostra, panna Denham, zostaną najhojniej potraktowani w testamencie starej damy. Szczerze na to liczył, panna Denham miała bowiem bardzo szczupłe dożywocie, a i jej brat – zważywszy na jego społeczną pozycję – był wyjątkowo skromnie sytuowany.

– To wielki przyjaciel Sanditon – przekonywał pan Parker Charlotte – i gdyby tylko dysponował majątkiem, miałby gest równie szczodry jak serce. Jakimż byłby znakomitym

sprzymierzeńcem! Już teraz robi, co w jego mocy, i na skrawku nieurodzajnej ziemi, który ofiarowała mu lady Denham, buduje śliczny mały domek. Jestem pewien, że zanim jeszcze skończy się sezon, będziemy mieli na niego wielu chętnych.

Aż do zeszłego roku pan Parker uważał, że sir Edward nie ma rywala, jeśli chodzi o szansę odziedziczenia lwiej części majątku starej damy, ale teraz trzeba było brać pod uwagę jeszcze jedną osobę: daleką młodą krewną, którą lady Denham skłonna była traktować jak córkę. Choć zawsze protestowała przeciwko narzucaniu jej czyjegokolwiek towarzystwa i od dawna gasiła w zarodku wszelkie podejmowane przez krewnych próby namówienia jej na przyjęcie pod swój dach tej czy innej młodej damy, z ostatniego pobytu w Londynie przywiozła niejaką pannę Brereton, która mogła się stać konkurencją dla sir Edwarda i ocalić dla swych bliskich tę część majątku, jaką oni właśnie mieli największe prawo dziedziczyć.

Pan Parker wyrażał się o Klarze Brereton bardzo ciepło, a opowieści na jej temat spotkały się z wielkim zainteresowaniem słuchaczki. Rozbawienie, z jakim Charlotta puszczała dotąd mimo uszu jego słowa, ustąpiło miejsca ciekawości. Z przyjemnością się dowiedziała, że panna Klara jest nader miła, sympatyczna, uprzejma i skromna, że zachowuje się bardzo naturalnie i ma wiele zdrowego rozsądku. W oczach Parkerów zyskała wiele nie tylko dzięki wrodzonym zaletom, ale także dzięki oddaniu dla opiekunki. Uroda, łagodność, ubóstwo i uległość – cóż to było za pole dla wyobraźni Charlotty. Poza pewnymi wyjątkami, kobieta zawsze będzie współczuła innej kobiecie. Szczegółowe informacje pana Parkera nie ominęły także okoliczności zaproszenia Klary do Sanditon, które jego zdaniem bardzo dobrze odzwierciedlały charakter lady Denham: ową mieszaninę małostkowości, uprzejmości, zdrowego rozsądku i hojności.

Po wieloletnim unikaniu Londynu, co czyniła głównie ze względu na zasypujących ją listami i zaproszeniami kuzynów, od których starała się trzymać z daleka, stara dama zmuszona była ostatnio pojechać do stolicy, gdzie, jak sądziła, miała spędzić co najmniej dwa tygodnie. Udała się tedy do hotelu, bo roztropnie wolała żyć na własny rachunek i zadać kłam rzekomej kosztowności pobytu w Londynie, niż zdać się na łaskę krewnych. Po trzech dniach poprosiła o rachunek, by się upewnić, że podjęła słuszną decyzję; ku jej przerażeniu wyniósł jednak tak dużo, że zdecydowała się natychmiast opuścić hotel. Uniesiona gniewem oświadczyła, że nie chce ani godziny dłużej pozostawać w przybytku, w którym jej zdaniem tak haniebnie ją oszukano. Ryzykowała wszelako wiele, zupełnie nie wiedziała bowiem, dokąd się udać, by jej znów nie oszukano. I wtedy nieoczekiwanie pojawili się jej sprytni kuzyni. Prawdopodobnie szpiegowali ją od chwili przyjazdu do miasta i mieli szczęście w tej przełomowej chwili znaleźć się obok. Zorientowawszy się w sytuacji, przekonali lady Denham, by resztę pobytu spędziła w skromniejszych progach ich domu, położonego w jednej z gorszych dzielnic Londynu.

Stara dama ustąpiła i była zachwycona gościnnością i troskliwością, z jaką została przyjęta. Jej kuzyni z rodu Breretonów nieoczekiwanie okazali się ludźmi godnymi najwyższego szacunku. Przy okazji przekonała się też osobiście, jak nikłe mają oni dochody i z jak poważnymi kłopotami finansowymi się borykają. Poczuli się tedy w obowiązku zaprosić jedną z tamtejszych dziewcząt do siebie na zimę. Miała ona przyjechać do Sanditon na sześć miesięcy, potem zaś jej miejsce zajęłaby inna panna. Ale dopiero wybierając dziewczynę, która miała jej towarzyszyć, lady Denham w pełni okazała, jak dobre ma serce. Pomięła bowiem rodzone córki państwa domu i wybrała ich siostrzenicę Klarę, z racji swego ubóstwa jeszcze bardziej bezradną i godną litości niż pozostałe. Stanowiła ona dodatkowy ciężar dla i tak biednej rodziny, w hierarchii społecznej stała zaś tak nisko, że – wobec braku szansy na odziedziczenie jakichkolwiek pieniędzy – los, jaki ją czekał, był niewiele lepszy od losu płatnej bony.

Klara przyjechała tedy ze starą damą do Sanditon i dzięki swemu zdrowemu rozsądkowi i poczuciu humoru podbiła zupełnie serce opiekunki. Sześć miesięcy dawno już minęło, ale

nikt nie wspominał nawet o żadnej zmianie lub przyjeździe kolejnej panny. Klara była ulubienicą lady Denham, a jej powściągliwe zachowanie i łagodne, uprzejme usposobienie ujęło także wszystkich innych bywalców Sanditon House. Nieufność, z jaką początkowo odnoszono się do niej w niektórych domach, zniknęła bez śladu. Uznano, że jest godną zaufania, wymarzoną towarzyszką dla lady Denham – zdolną nie tylko poszerzyć jej horyzonty, ale także pokierować jej działaniem i skłonić do hojności. Panna Klara była równie miła, jak ładna, a odkąd oddychała wspaniałą morską bryzą Sanditon, jej uroda rozkwitła w całej pełni.

Rozdział IV

– Do kogóż należy to przytulne domostwo? – zapytała Charlotta, kiedy powóz wjechał w osłoniętą kotlinę, leżącą o dwie mile od morskiego brzegu. Jej pytanie dotyczyło niewielkiego domku, ładnie ogrodzonego i otoczonego pięknym ogrodem, sadem i łąkami. Miejsce, w którym go wzniesiono, było wprost wymarzone na rezydencję. – Wygląda na równie wygodne, jak nasz dwór w Willingden.

– Ach! To mój stary dom! – wykrzyknął pan Parker. – Należał jeszcze do mojego dziada. Tu właśnie się urodziłem i wychowałem – podobnie jak wszyscy moi bracia i siostry. Tu także przyszła na świat trójka moich najstarszych dzieci, bo oboje z panią Parker mieszkaliśmy pod tym dachem, póki przed dwoma laty nie ukończyliśmy budowy nowego domu. Rad jestem, że się pani podoba. To przyzwoita, stara rezydencja, a Hillier utrzymuje ją we wzorowym porządku. Trzeba bowiem pani wiedzieć, że przekazałem ten dom człowiekowi, który zarządza moimi dobrami. On zyskał lepsze mieszkanie, a ja lepsze położenie! Jeszcze jedno wzgórze, a znajdziemy się w Sanditon – nowoczesnym Sanditon. Cóż to za piękne miejsce. Nasi przodkowie, jak pani wie, zawsze wznosili swe domostwa w kotlinach. Oto jak mieszkaliśmy: zamknięci w tym małym, ciasnym zakątku, bez powietrza i widoku, a przecież oddalonym tylko o niespełna dwie mile od najwspanialszych przestrzeni oceanu, jakie tylko znaleźć można w pobliżu południowego przylądka. I nie mieliśmy z tego żadnej korzyści! Kiedy przybędziemy do Trafalgar House, przekona się pani, że nie dokonałem złej zamiany. Nawiasem mówiąc, niemal żałuję, że nazwałem swój dom „Trafalgar”, bo Waterloo stało się teraz miejscem jeszcze słynniejszym. Ale to nic:

Waterloo mamy w zapasie. I jeśli starczy nam odwagi, by zaryzykować w tym roku budowę niewielkiego zaułka, będziemy mogli nazwać go zaułkiem Waterloo. Jestem pewien, że nazwa bez trudu przylgnie do wznoszonych tu domów; zawsze przecież tak się dzieje. W sezonie zaś powinniśmy mieć więcej chętnych na te apartamenty niż miejsce.

– To był zawsze bardzo wygodny dom – odezwała się pani Parker – z niejakim żalem zerkając przez tylne okienko na mijaną rezydencję. – I taki piękny ogród. Wspaniały ogród!

– Tak, moje serce, ale można powiedzieć, że zabraliśmy ten ogród ze sobą. Przecież nadal zaopatruje nas we wszelkie owoce i warzywa, jakich tylko zapagniemy. Mamy więc wygodę, jaką zapewnia posiadanie znakomitego ogrodu warzywnego, a jednocześnie oszczędzamy sobie kłopotów, jakie wiążą się z jego utrzymaniem. No i nie patrzymy co roku z żalem, jak zamiera w nim życie. Któż lubi widok grządek kapusty w październiku?

– Och tak, mój drogi. Masz rację. Owoców i warzyw mamy równie pod dostatkiem jak niegdyś, bo nawet jeśli zapomnimy przywieźć je stąd, zawsze możemy kupić wszystko, czego potrzebujemy, w Sanditon House. Tamtejszy ogrodnik jest tak miły, że dostarcza nam to, czego trzeba. Ale w ogrodzie mogły się też bawić dzieci. Latem nie brakowało tam cienia...

– Moja droga, na wzgórzu też mamy cienia ile dusza zapagnie, a za kilka lat będziemy go mieli aż za dużo! Ludzie nie mogą się wprost nadziwić, jak szybko rośnie mój sad.

Tymczasem mamy płócienne markizy, które zapewniają nam chłód i wygodę wewnątrz domu. A jeśli chodzi o spacer, możesz w każdej chwili kupić dla małej Mary parasolkę u Whitby'ego albo czepek u Jebba. Co się zaś tyczy chłopców, wołałbym raczej, żeby biegali w słońcu niż w cieniu. Jestem pewien, że podobnie jak ja pragniesz, moja droga, by nasi chłopcy byli zahartowani.

– Ależ tak, naturalnie. Całkowicie się z tobą zgadzam. I zaiste kupię Mary małą parasolkę. Wyobrażam sobie, jaka będzie z niej dumna! Już ją widzę parującą pod nią z uroczystą miną, całkiem jak mała kobietka. Och, nie wątpię ani trochę, że nasz nowy dom jest o wiele lepszy. Jeśli którekolwiek z nas zapragnie zażyć morskiej kąpiel, nie mamy więcej niż ćwierć mili do plaży! Ale sam wiesz – dodała, znowu oglądając się za siebie – że tak, jak tęskni się za starymi przyjaciółmi, tęskni się też za miejscami, gdzie czuliśmy się tacy szczęśliwi. W dodatku Hillierowie nie przeżyli zeszłej zimy ani jednego sztormu. Pamiętam, że pewnego razu spotkałam panią Hillier – a było to nazajutrz po jednej z tych okropnych nocy, kiedy my dosłownie kołysaliśmy się we własnym łóżku – ona zaś nie zauważyła nawet, że wiatr był silniejszy niż zwykle.

– No tak, to dość prawdopodobne. My mocniej odczuwamy sztormy, ale tak naprawdę grozi nam z ich strony mniejsze niebezpieczeństwo niż im. Wiatr, nie napotykając wokół naszego domu niczego, co stałoby mu na drodze, po prostu leci dalej, podczas gdy w kotlinie, poniżej koron drzew, gdzie nie czuje się żadnych ruchów powietrza, mieszkańcy mogą dać się wichurze zupełnie zaskoczyć. A przynoszą one w dolinach – bo tam dopiero przybierają na sile – o wiele więcej szkody niż na otwartej przestrzeni. Jeśli zaś chodzi o owoce i warzywa, moje serce, wielokrotnie zapewniano nas, że gdyby niespodziewanie coś było nam potrzebne, ogrodnik lady Denham natychmiast to przyniesie. Myślę jednak, że przy takich okazjach powinniśmy raczej zwracać się gdzie indziej: stary Stringer i jego syn są w większej potrzebie. Zachęciłem ich, żeby się tu osiedlili, ale obawiam się, że nie wiedzie im się najlepiej. Choć na razie mieszkają tu krótko i w przyszłości bez wątpienia ich sytuacja się poprawi, wymaga to jednakowoż mozolnej pracy. Powinniśmy im więc ze wszystkich sił pomagać i zwracać się do nich zawsze, ilekroć potrzebne nam będą jarzyny lub owoce. Nie byłoby źle, gdyby zdarzało się to często i gdybyśmy niemal codziennie o czymś zapominali. Albo jeszcze lepiej, gdybyśmy tylko pro forma odbierali niektóre jarzyny z dawnego ogrodu – ot tyle, by stary Andrew nie stracił codziennego zajęcia – a naprawdę kupowali większość potrzebnych nam rzeczy u Stringerów.

– Znakomity pomysł, mój drogi, i bez trudu wcielimy go w życie. Kucharka się ucieszy – dla niej to będzie wielka wygoda, ostatnio stale bowiem narzeka na Andrewa. Powiada, że nigdy nie przywozi jej tego, co zamówiła. Oho, nasz dawny dom już zniknął z oczu. Powiedz mi, czy to prawda, że – zdaniem twojego brata – powinno się urządzić w nim szpital?

– Och, droga Mary, to zwykły żart z jego strony! Udaje tylko, że nakłania mnie, bym przekształcił to miejsce w szpital. W żartach wyśmiewa się też z moich innych ulepszeń. Sama wiesz, że Sidney gada, co mu ślina na język przyniesie. Nigdy nie zastanawia się nad tym, co mówi. Myślę, panno Heywood, że w każdej rodzinie znajdzie się ktoś, kto z racji swych talentów lub przymiotów cieszy się przywilejem mówienia wszystkiego, co zechce. W naszej rodzinie taką osobą jest Sidney. To bardzo zdolny młodzieniec. Potrafi być naprawdę sympatyczny. Niestety, zbyt długo przebywał w wielkim świecie, by miał czas się ustatkować – to jego jedyna wada. Mieszka to tu, to tam, ja chciałbym wszelako, żeby osiadł na stałe w Sanditon. Mam nadzieję, że go pani pozna. Jego obecność dobrze zrobiłaby miastu. Oboje z Mary wiemy, co znaczy sąsiedztwo takiego młodego człowieka jak Sidney, z jego eleganckim powozem i modnymi strojami: natychmiast ściągnęłoby tu wiele szacownych rodzin, wiele troskliwych matek i ich pięknych córek. To mogłoby nas wspomóc kosztem Eastbourne i Hastings.

Zbliżali się właśnie do kościoła i starej części wsi Sanditon, leżącej u stóp wzgórza, które przed chwilą pokonali. Zbocza wzniesienia porośnięte były lasem, w którym – jak poinformowano Charlotte – krył się Sanditon House. Stok kończył się otwartą kotliną, gdzie wkrótce stanąć miały nowe domy. Dnem zmierzającego nieco skośnie ku morzu jaru płynął niewielki strumyk. Zaciszny zakątek przy jego ujściu aż się prosił, by budować tam domy. Nieopodal stało już zresztą kilka rybackich zagród.

We wsi nie znalazłoby się na razie jeszcze niczego prócz chłopskich chat, ale – jak z zachwytem zapewnił Charlotte pan Parker – czuło się już nadchodzące zmiany. Dwie czy trzy najzamożniejsze chaty zadawały szyku białymi firankami oraz napisami: „Kwatery do wynajęcia”, a na zielonym podwórku starej wiejskiej rezydencji na ogrodowych krzeselkach dwie damy w eleganckich białych sukniach czytały książki. Skręcając za rogiem piekarni, można było usłyszeć dobiegające z jej wyższego piętra dźwięki harfy.

Takie widoki i odgłosy cieszyły niepomniernie pana Parkera – nie dlatego, by dbał o powodzenie wsi, która jego zdaniem była zbyt oddalona od morza, ale dlatego, że to, co ujrzał, stanowiło niezbitą dowód, iż okolica staje się coraz bardziej modna. Skoro nawet wieś mogła się komuś wydać atrakcyjna, na wzgórzu z pewnością ściagną tłumy. Oczywiście wyobraźni zobaczył, jak będzie wyglądał tu przyszły sezon. Rok temu o tej samej porze, czyli pod koniec lipca, nie było we wsi nawet jednego letnika! Nie pamiętał także, żeby w ogóle pojawił się ktokolwiek przez całe lato – poza jedną rodziną z dziećmi przybyłą z Londynu, by morską powietrzem leczyć osłabienie po kokluszu. Matka nie pozwalała jednak dzieciom schodzić nad brzeg morza w obawie, że wpadną do wody.

– Cywilizacja, prawdziwa cywilizacja – wołał zachwycony pan Parker. – Spójrz, droga Mary! Popatrz na witrynę Williama Heeleya. Błękitne pantofle i nankinowe buty! Któż mógłby się spodziewać takiego widoku w starym Sanditon! Ta zmiana musiała nastąpić dopiero ostatnio, bo kiedy miesiąc temu stąd wyjeżdżaliśmy, na tej wystawie nie było żadnych błękitnych pantofli. Chwalebne, doprawdy! No cóż, sądzę, że coś niecoś tu zdziałalem. A oto i nasze wzgórze. I cudowne, zdrowe powietrze.

Wspinając się pod górę, minęli drogę wiodącą do Sanditon House i wśród drzew ujrzeli dach domostwa.

Był to ostatni budynek w dawnym stylu, jaki wzniesiono w tej części parafii. Nieco wyżej świeciła już triumfy nowoczesność. Charlotta w milczeniu, z pełnym ciekawości rozbawieniem przyglądała się Prospect House, Bellevue Cottage i Denham Palace, podczas gdy pan Parker wyrażał gorącą nadzieję, że żaden z tych domów nie stoi pustką. Niestety, na furtkach zobaczył więcej niż się spodziewał ogłoszeń o wolnych pokojach, na wzgórzu zaś mniej oznak, świadczących o przybyciu gości: nie było ani powozów, ani spacerowiczów. Przypisywał to wszakże raczej porze dnia: zapewne letnicy powrócili właśnie z przechadzki na obiad. I choć wiedział, że plaże i Taras nigdy do końca nie pustoszeją, pamiętał, że morze musi być teraz w połowie przyptywu.

Zatęsknił nagle, by znaleźć się na plaży wśród klifów. Być w swoim domu i jednocześnie wszędzie poza nim. Już sam widok morza dobrze nań podziałał: poczuł niemal, jak jego kostka staje się z chwili na chwilę silniejsza.

Wzniesiony w najwyższym punkcie stoku Trafalgar House był lekką, elegancką budowlą, otoczoną niewielkim trawnikiem i bardzo młodym na razie sadem. Od krawędzi urwistego, ale niezbyt wysokiego klifu dzieliło go około stu jardów i – wyjawszy krótką uliczkę schludnych domków, zwaną Tarasem – był to leżący najbliżej plaży budynek. Taras, z jego szerokim chodnikiem ciągnącym się przed frontami domów, aspirował do miana miejscowej promenady. Znajdował się tu najlepszy sklep modniarski oraz biblioteka, a także hotel i sala bilardowa. Obok zaczynało się zejście na plażę, ku urządzeniom kąpielowym.

Dojechawszy do Trafalgar House, wznoszącego się w niewielkiej odległości od Tarasu, podróżni wysiedli z powozu i zostali natychmiast otoczeni przez gromadkę uszczęśliwionych

dzieci, radośnie witających się z rodzicami. Zaprowadzona do swojego apartamentu Charlotta z rozbawieniem podeszła do wielkiego weneckiego okna i patrząc ponad fasadami niedokończonych budynków, trzepocząc na wietrze pościelą i dachami leżących niżej domostw, powiodła wzrokiem ku migoczącemu w promieniach słońca morzu.

Rozdział V

Wkrótce cała rodzina ponownie spotkała się przed obiadem. Pan Parker przeglądał korespondencję.

– Ani słowa od Sidneya! – westchnął. – Cóż z niego za leniuch. Napisałem do niego jeszcze z Willingden o moim wypadku i myślałem, że raczy mi odpowiedzieć. Ale może to oznacza, że zawita do nas osobiście. Wierzę, że tak się stanie. Przyszedł za to list od jednej z moich sióstr. Na nie zawsze mogę liczyć! Jeśli chodzi o korespondencję, można polegać tylko na kobietach. Zanim jeszcze otworzę kopertę, Mary – zwrócił się z uśmiechem do żony – spróbujmy zgadnąć, czy moim krewnym dopisuje zdrowie. Albo zastanówmy się, co powiedziałby Sidney, gdyby był tu z nami. Sidney to szelma, panno Heywood. Musi pani wiedzieć, że uważa on, iż w narzekaniach moich sióstr sporo jest imaginacji. Ale w rzeczywistości wcale na to nie wygląda – albo w bardzo niewielkim stopniu. Obie są słabego zdrowia, o czym wielokrotnie słyszała już pani z naszych ust, i cierpią na wiele bardzo poważnych schorzeń. W gruncie rzeczy sędzę, że nie wiedzą, co to znaczy być choć przez jeden dzień zdrowym. A jednocześnie są wspaniałymi, pracowitymi kobietami. Mają tyle energii i hartu ducha! Jeśli tylko można wyświadczyć komuś przysługę, wyteżają wszystkie siły, by to uczynić. Na tych, którzy ich dobrze nie znają, robi to niezwykle wrażenie. Tak naprawdę wcale nie symulują chorób. Mają po prostu słabsze organizmy – ale i silniejsze umysły niż to na ogół się spotyka. A nasz najmłodszy brat, który mieszka razem z nimi, i który liczy sobie niewiele ponad dwadzieścia lat, pozostaje – przykro mi to mówić – równie wielkim kaleką jak one. Jest tak delikatnego zdrowia, że nie może nawet zająć się żadną pracą. Sidney śmieje się z niego, ale ja uważam, że nie ma w tym nic zabawnego. Ale taki już jest Sidney: nawet ja, wbrew samemu sobie, śmieję się z jego żartów. Wiem, że gdyby tu był, rzuciłby z rozbawieniem, że z listu dowiemy się najpewniej, iż Susan, Diana albo Arthur stoją nad grobem i umrą w ciągu miesiąca. – Pan Parker przerwał na chwilę, by przebiec wzrokiem list. – Żałują wielce, ale nie uda im się zjechać do Sanditon – westchnął, potrząsając głową. – Niewesołe wieści, naprawdę niewesołe wieści. Zmartwisz się, Mary, słysząc, jak ciężko chorowali – i chorują nadal. Jeśli pani pozwoli, panno Heywood, przeczytam list Diany na głos. Lubię, gdy moi przyjaciele poznają się nawzajem, a obawiam się, że wam dane będzie jedynie znać się ze słyszenia, bo do zawarcia innego rodzaju znajomości nie będzie okazji. Mogę wszelako z czystym sumieniem przeczytać pani list Diany, bo przedstawia on moją siostrę właśnie taką, jaką jest: energiczną, serdeczną, o złotym sercu. A to musi robić na ludziach dobre wrażenie.

Pan Parker pochylił się nad listem i zaczął czytać.

Mój drogi Tomie!

Wszyscy zmartwiliśmy się ogromnie Twoim wypadkiem i gdyby nie to, że zapewniłeś nas, iż znalazłeś się pod dobrą opieką, już następnego dnia po otrzymaniu Twego listu postarałabym się znaleźć u Twojego boku. I to pomimo, że wieści od Ciebie nadeszły akurat w chwili, kiedy złożył mnie silniejszy niż zwykle atak od dawna już dokuczającego mi wreczka żółciowego. Sprawił on, że ledwie mogłam wstać z łóżka, by przenieść się na kanapę. Jak też się Tobą zajmowano? Podaj mi w kolejnym liście więcej szczegółów. Jeżeli rzeczywiście, jak

twierdzisz, po prostu zwichnąłeś nogę, nic nie pomoże Ci lepiej niż masaż. Wystarczy rozcierać bolące miejsce ręką, tyle tylko, że należałoby to robić ciągle. Dwa lata temu wezwano mnie do pani Sheldon, kiedy jej stangret zwichnął nogę, czyszcząc powóz. Ledwo dowlókł się do domu, ale dzięki natychmiastowemu nieprzerwanemu masowaniu (a ja własnymi rękoma rozcierałam mu kostkę przez sześć godzin bez przerwy) już po trzech dniach czuł się dobrze.

Wielkie dzięki za Twą miłą troskę o nas; wszak to w pewnej mierze przez nią uległeś wypadkowi! Błagamy jednak, byś nigdy więcej nie narażał się na niebezpieczeństwo, szukając dla nas medyka. Nawet bowiem gdybyś zdołał namówić jakiegoś doświadczonego lekarza, ażeby osiedlił się w Sanditon, dla nas i tak nie miałoby to znaczenia. Sam wiesz, jak często zasięgaliśmy porady doktorów, ale wszystko na próżno: przekonaliśmy się, że nie są oni w stanie nam pomóc, że szukając ulgi w cierpieniach, możemy zdać się wyłącznie na siebie. Jeżeli wszelako sądzisz, że w interesie Sanditon leży, by zamieszkał w nim lekarz, z przyjemnością zajmę się tą sprawą – i bez wątpienia mi się powiedzie. Potrafię zapukać do odpowiednich drzwi.

Co się tyczy naszego przyjazdu do Was, jest on niestety zupełnie niemożliwy. Z przykrością stwierdzam, że nie podjęłabym takiego ryzyka, gdyż moje bóle wyraźnie wskazują, iż przy obecnym stanie zdrowia morskie powietrze byłoby dla mnie zabójcze. A nikt z moich współmieszkańców nie zostawi mnie samej – inaczej ja pierwsza nakłaniałabym ich, żeby spędzili u was co najmniej dwa tygodnie. Choć, prawdę mówiąc, wątpię, czy nerwy Susan przetrzymałyby podobny wysiłek. Cierpi ona wielce z powodu migren, a sześć pijawek dziennie, przystawianych przez dziesięć dni, pomogło jej tak niewiele, że uznaliśmy, iż najwyższy czas zmienić sposób leczenia. Moje własne badania wykazały, że prawdziwy powód jej cierpień tkwi w dziąsłach, przekonałam ją przeto, by dała sobie wyrwać trzy zęby. Poczuli się dzięki temu zdecydowanie lepiej, ale jej nerwy są w opłakanym stanie. Może mówić wyłącznie szeptem i dziś rano dwukrotnie omdlała, kiedy biedny Arthur próbował stłumić kaszel. On, na szczęście, czuje się całkiem dobrze, choć wolałabym, żeby był mniej ospały. Obawiam się też o jego wątrobę.

Od czasu jak obaj bawiliście w mieście, nie miałam żadnych wieści od Sidneya, ale sądzę, że jego plany wyjazdu na wyspę Wight spaliły na panewce – inaczej zawitalby u nas przejazdem.

Jak najszczerzej życzymy Ci udanego sezonu w Sanditon! I choć nie możemy osobiście wnieść swego wkładu w Twój Beau Monde, uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by przysłać Ci letników, jakich bez wątpienia warto u siebie gościć. Możemy z pewnością liczyć, że skłonimy do wyjazdu do Was dwie duże grupy. Jedna to osiadła w Surrey zamożna rodzina z Indii Zachodnich, druga to wychowanki wielce szacownej szkoły żeńskiej z Camberwell. Nie sposób zgola wyliczyć, ile osób zaangażowałam w tę sprawę.

Twoja oddana...

– No cóż, może Sidney dopatrzyłby się w tym liście czegoś zabawnego – powiedział pan Parker, skończywszy czytać – i sprawiłby, że przez pół godziny pękalibyśmy ze śmiechu, ale ja znajduję stan zdrowia mojej rodziny wielce zasmucającym. Choć to, co piszą, jest jednocześnie niezmiernie budujące. Sama pani widzi, panno Heywood, jak bardzo, mimo własnych cierpień, moja rodzina dba o dobro innych. Tyle troski o Sanditon! Dwie duże grupy. Jedna zajmie prawdopodobnie Prospect House, a druga zatrzyma się w rezydencji numer 2: Denham Palace. Albo może wynajmie ostatni dom Tarasu i dodatkowe łóżka w hotelu? Mówilem pani, panno Heywood, że moja siostra to cudowna kobieta.

– Jestem pewna, że musi być nadzwyczajną osobą – pospieszyła z zapewnieniem Charlotta. – Zważywszy na zły stan zdrowia obu pańskich siostr radosny ton tego listu jest wręcz zaskakujący. Trzy zęby usunięte za jednym zamachem – to po prostu straszne! Pańska

siostra Diana wydaje się bardzo poważnie chora, ale te trzy zęby Susan przynębiają mnie bardziej niż wszystko inne.

– Och, one przywykły do takich zabiegów – do wszelkich zabiegów! I są takie dzielne!

– Pańskie siostry wiedzą, co im dolega, ale sięgają, że tak powiem, po skrajne środki. Ja sama na ich miejscu szukałabym raczej porady fachowca. Nie liczyłabym ani na siebie, ani na swoich bliskich. Z drugiej strony, Heywoodowie są tak zdrową rodziną, że nie potrafię osądzić, na ile skuteczne mogą być domowe sposoby leczenia...

– Gwoli prawdy – odezwała się pani Parker – ja także uważam, że panny Parker ufając własnej intuicji, posuwają się niekiedy zbyt daleko. I wiem, mój drogi, że ty także podzielasz tę opinię. Często napomykasz, że twoje rodzeństwo czułoby się lepiej, gdyby nieco mniej rozmyślało o swoim zdrowiu. Szczególnie dotyczy to Arthura. Wiem, jak bardzo żałujesz, iż siostry tak dalece pobłażają jego skłonności do celebrowania każdej choroby...

No cóż, Mary, przyznaję, że to niedobrze dla biednego Arthura, iż zachęcono go, by w tak młodym wieku obnosił się ze swoimi dolegliwościami. To źle. Źle też, że czuje się zbyt słaby, ażeby poszukać sobie jakiejś pracy, i że mając dwadzieścia jeden lat zadowala się swym niewielkim mająteczkiem, nie próbując go pomnożyć. Nie mówiąc już o tym, że mógłby znaleźć sobie zajęcie, które przyniosłoby pożytek innym! Porozmawiajmy jednak o przyjemniejszych rzeczach. Te dwie duże grupy gości są właśnie tym, czego nam trzeba. Ale... ale... słyszę, zdaje się, coś jeszcze przyjemniejszego: Morgana i jego „podano do stołu”.

Rozdział VI

Wkrótce po obiedzie całe towarzystwo opuściło dom. Pan Parker czułby wyrzuty sumienia, gdyby nie złożył wizyty w bibliotece, Charlotta zaś chciała jak najszybciej poznać to całkiem nowe dla niej miejsce. Była to najspokojniejsza w morskim kąpielisku pora dnia: mieszkańcy i goście jedli jeszcze obiad lub po nim odpoczywali, tak więc tylko gdzieś tam napotykało się samotnych starszych ludzi, zmuszonych do jak najwcześniejszego zażywania leczniczych spacerów. Życie towarzyskie zamierało, a Taras, klify i plaże świeciły pustką.

Także w sklepach nie było żywej duszy; słomkowe kapelusze i koronki leżały pozostawione własnemu losowi. Pani Whitby siedziała na zapleczu biblioteki, czytając – z braku zajęcia – jakąś powieść. Lista gości codziennie wyglądała tak samo. Lady Denham i panna Esther były osobami, które w tym sezonie pojawiały się najczęściej. Poza nimi nie widywało się już nikogo lepszego od pani i panien Mathews, doktora Browna i jego małżonki, pana Richarda Pretta, porucznika Smitha z Królewskiej Marynarki Wojennej, kapitana Little’a z Limehouse, pani Jane Fisher, panny Fisher, panny Scroggs, wielebnego pana Hankinga, radcy prawnego pana Bearda z Grays Inn oraz pani Davis i panny Merryweather.

Pan Parker także spostrzegł, że na liście nie pojawiły się żadne zmiany, bolał przy tym, że jest ona krótsza niż się spodziewał. Był jednak dopiero lipiec; w sierpniu i wrześniu sytuacja mogła się zmienić. Obiecane dwie duże grupy gości z Surrey i Camberwell stanowiły nie lada pocieszenie.

Pani Whitby opuściła niezwłocznie zaplecze biblioteki, uradowana, że ponownie widzi pana Parkera; jego usposobienie zawsze zjednywało mu przyjaciół. Pograżeni w miłej pogawędce wymieniali uprzejmości, podczas gdy Charlotta dopisała swoje nazwisko do listy czytelników. Była pierwszym gościem, który miał wróżyć pomyślny sezon i – gdy tylko panna Whitby ze swymi lśniącymi lokami i gustowną biżuterią pospieszyła na dół, by ją obsłużyć – przystąpiła do robienia sprawunków.

Biblioteka była rzeczywiście znakomicie zaopatrzona. Znajdowały się tu wszystkie bezużyteczne rzeczy świata, bez których po prostu nie sposób się obyć. Wśród tak wielu pokus, a także zachęt ze strony pana Parkera, Charlotte z trudem przyszło zachowanie umiaru – doszła jednak do wniosku, że w poważnym wieku lat dwudziestu dwóch nie wypada go jej nie zachować i tylko dzięki temu udało jej się nie wydać od razu pierwszego popołudnia wszystkich pieniędzy. Przeglądając książki, natrafiła na tom „Camilli”¹, ale jako że nie miała takiej jak jej bohaterka młodości ani nie spodziewała się popaść w podobne kłopoty, wkrótce zniechęcona odłożyła go na miejsce. Po chwili porzuciła także szuflady z pierścionkami i broszkami i głucha na dalsze zachęty zapłaciła za wybrane przedmioty.

Ze względu na Charlotte, prosto z biblioteki Parkerowie zamierzali się udać na klif, ale gdy tylko znaleźli się z powrotem na ulicy, natknęli się na dwie znajome damy – i to sprawiło, że zmienili zamiar. Spotkanymi paniami były lady Denham i panna Brereton. Wstąpiły one przed chwilą do Trafalgar House, skąd skierowano je do biblioteki; że zaś lady Denham była kobietą zbyt energiczną, aby traktować milowy spacer jako coś, po czym należy odpocząć, postanowiła więc od razu ruszyć w drogę powrotną. Parkerowie poczuli się tedy w obowiązku zaprosić obie panie do siebie na herbatę – wiedzieli, że lady Denham na to właśnie liczyła. I tak wycieczka na klif ustąpiła przed koniecznością natychmiastowego powrotu do domu.

– Nie, nie – dla przyzwoitości protestowała przez chwilę stara dama. – Nie chcę, byście przeze mnie zmieniali godzinę picia herbaty. Wiem, że zwykle siadacie do niej później. To, że ja wolę ją o wcześniejszej porze, nie może narażać moich sąsiadów na niewygodę. Nie, nie, panna Klara i ja wypijemy herbatę u siebie. Od początku takie miałyśmy plany. Chciałyśmy po prostu was zobaczyć i upewnić się, iż rzeczywiście przyjechaliście. Ale na herbatę wrócimy do domu.

Mimo tych sprzeciwów przyjęła jednak zaproszenie do Trafalgar House i zasiadła w salonie, zdając się nie słyszeć wydanego służbie polecenia, by natychmiast podano herbatę.

Towarzystwo osób, które – po porannej rozmowie z Parkerami – tak bardzo chciała poznać, w pełni wynagrodziło Charlotte utratę spaceru. Była bardzo ciekawa, jak wyglądają panie, o których tyle słyszała, i teraz nareszcie mogła dobrze im się przyjrzeć. Lady Denham była tęgą kobietą, średniego wzrostu, o wyprostowanej sylwetce, energicznych ruchach, przenikliwym spojrzeniu i pewnej sobie minie. Mimo to twarz miała sympatyczną i choć jej sposób bycia był raczej oschły i bezceremonialny – uważała się bowiem za osobę szczerą i bez ogródek mówiącą, co myśli – potrafiła być także wesoła i serdeczna. Ucieszyła się z poznania Charlotty, z wielką życzliwością też potraktowała starych przyjaciół.

Jeśli zaś chodziło o pannę Brereton, jej wygląd i zachowanie w pełni usprawiedliwiały zachwyty pana Parkera – Charlotta pomyślała wręcz, że nigdy nie spotkała miłszej ani bardziej interesującej młodej kobiety.

Wysoka, niezwykle urodziwa, o delikatnej cerze i łagodnych błękitnych oczach, miała ujmująco nieśmiały, naturalny i pełen wdzięku sposób bycia. W oczach Charlotty była najdoskonalszym ucieleśnieniem pięknych i czarujących bohaterek powieści, których liczne tomy stały na półkach pani Whitby. Być może na takiej ocenie zaważyła niedawna wizyta Charlotty w bibliotece, ale doprawdy patrząc na Klarę Brereton, trudno było pozbyć się myśli o literackich heroinach. Sprzyjało temu także jej uzależnienie od lady Denham: natychmiast nasuwała się myśl, że stara dama zaprosiła dziewczynę do siebie tylko po to, by móc źle ją traktować. Ubóstwo i pozostawanie na łasce ciotki, połączone z urodą i przymiotami ducha, jednoznacznie sugerowały, jak należy patrzeć na całą tę sprawę.

Uczucia, które budziła w niej Klara, nie miały żadnego związku z romantycznym usposobieniem Charlotty. Była ona raczej trzeźwo myślącą młodą damą, wystarczająco dobrze czytana w powieściach, by wzbogaciły one jej wyobraźnię, ale nie zyskały na nią nadmiernego wpływu. Poświęciwszy więc pierwsze pięć minut rozważaniom, jakież to

¹ Powieść Fanny Burney.

cierpienia powinny się stać udziałem Klary za sprawą niegrzecznego zachowania lady Denham, na podstawie dalszych obserwacji bez oporu przyznała, że obie damy są ze sobą w doskonałych stosunkach, a postępowaniu starej damy nie można zarzucić nic, wyjąwszy może staromodnie oficjalną formę zwracania się do krewnej, którą cały czas tytułowała panną Klarą. Szacunek i troska okazywane opiekunce przez Klarę także nie budziły zastrzeżeń Charlotty.

Rozmowa szybko zeszła na temat Sanditon, goszczących w nim obecnie turystów i zmian, które nastąpić mogły w sezonie. Bez wątpienia lady Denham bardziej niż jej sąsiad niepokoiła się możliwością poniesienia strat finansowych. Chciała, by osada jak najszybciej zapełniła się letnikami i myśl o stojących pustką kwaterach zupełnie wytrącała ją z równowagi. Nie omieszkała oczywiście powiedzieć jej o dwóch dużych grupach gości, których przybycie zapowiadała panna Diana Parker.

– Bardzo dobrze! Znakomicie! – ucieszyła się stara dama. – Rodzina z Indii Zachodnich i wychowanki pensji dla panien. Brzmi doskonale. To nam przyniesie pieniądze.

– Nikomu ich wydawanie nie przychodzi łatwiej niż przybyszom z Indii Zachodnich – zgodził się pan Parker.

– Owszem. Choć słyszałam, że z racji pełnych portfeli uważają czasem, że są równi starym rodowi z kraju. Co gorsza, mówiono mi też, że szastają pieniędzmi, nie zastanawiając się, czy nie spowodują tym wzrostu cen. Jeśli więc ich przybycie miałoby wyrządzić nam taką szkodę, nie przyjmujemy ich z wdzięcznością.

– Ależ droga pani! – wykrzyknął pan Parker. – Wywołana przez nich zwyczajna cen na niektóre artykuły może wiązać się jedynie z nadzwyczajnym wzrostem popytu. A to da nam możliwość zrobienia tylu doskonałych interesów, że w efekcie przyniesie więcej pożytku niż szkody. Nasi rzeźnicy, piekarze i sklepikarze nie mogą się przecież wzbogacić, nie przynosząc jednocześnie zysków nam. Jeśli zaś oni niewiele zarobią, i nasze dochody staną się niepewne. Tak więc ich zyski są również naszymi – choćby poprzez wzrost wartości tutejszych domów.

– No cóż, racja. Chociaż nie podoba mi się myśl, że mam płacić rzeźnikowi drożej za mięso. I jak długo się da, będę się targować! Widzę, młoda damo, że się uśmiechasz. Musisz uważać mnie za osobę bardzo dziwną. Ale i ty w swoim czasie zaczniesz zwracać uwagę na podobne kwestie. Tak, tak, moja droga, wierz mi: i ty za jakiś czas zaczniesz myśleć o tym, ile płacisz rzeźnikowi za mięso. Choć może, w przeciwieństwie do mnie, nie będziesz miała gromady służby do wykarmienia. Moim zdaniem najlepiej mają ci, co zatrudniają tylko kilkoro służących. Wszyscy wiedzą, że nie należę do osób, które lubią afiszować się bogactwem, i gdyby nie fakt, że jestem to winna pamięci drogiego pana Hollisa, nigdy nie utrzymywałabym Sanditon House na takim poziomie. Nie czynię tego wszakże dla własnej przyjemności. Cóż, panie Parker, powiada pan, że pozostali nasi goście to uczennice? Francuskiej pensji, prawda? Nic w tym złego. I zostaną tu przez sześć tygodni? Wśród tylu dziewcząt znajdą się bez wątpienia jakieś chore na gruźlicę, które będą potrzebować oślego mleka. A ja mam akurat dwie dojne oślice. Jednakże te młode panienki mogą zniszczyć meble. Mam nadzieję, że będą pod dobrą opieką surowych nauczycieli...

W kwestii, która przywiodła pana Parkera do Willingden, lady Denham nie obdarzyła go większym zaufaniem niż jego własna siostra.

– Na Boga, drogi panie! – zawołała. – Jak pan mógł w ogóle pomyśleć o czymś podobnym? Przykro mi, że uległ pan wypadkowi, ale prawdę rzekłszy zasłużył pan sobie na to. Szukać lekarza! Co my byśmy zrobili tu z doktorem? Mając go pod ręką, zachęciłibyśmy tylko służbę i biedotę do wymyślania sobie chorób. Naprawdę, lepiej, żeby medycy trzymali się z dala od Sanditon. Świetnie dajemy sobie bez nich radę. Mamy tu morze, wydmy i moje dojne oślice. Powiedziałam też pani Whitby, że jeśli ktokolwiek zażyczy sobie pokojowego konia do ćwiczeń, może go w każdej chwili otrzymać, bo pokojowy koń biednego pana

Hollisa jest doprawdy znakomity. I całkiem nowy. Czego więcej można jeszcze chcieć? Chodzę po świecie już siedemdziesiąt lat, a lekarza widziałam na oczy nie więcej niż dwa razy. I nigdy nie wezwano go na moje życzenie. Jestem też głęboko przekonana, że gdyby mój biedny, drogi sir Harry nie korzystał z pomocy medyka, żyłby do dziś. Człowiek, który wysłał mojego męża na tamten świat, dziewięciokrotnie brał honorarium. Jedno po drugim. Zaklinam pana, panie Parker: żadnych doktorów w Sanditon.

W tym momencie wniesiono herbatę.

– Och, pani Parker, zaprawdę nie powinna pani tego robić. Czemu mnie pani nie posłuchała? Właśnie miałam się z państwem pożegnać. Skoro jednak okazała nam pani taką gościnność, sądzę, że obie z panną Klarą musimy pozostać na herbacie.

Rozdział VII

Sympatia, jaką cieszyli się Parkerowie, sprawiła, że już następnego ranka złożono im kilka wizyt. Wśród przybyłych znalazł się także sir Edward Denham i jego siostra, którzy wstąpili do nich po drodze do Sanditon House. Spełniwszy zatem obowiązek napisania listów, Charlotta zasiadła wraz z panią Parker w bawialni i została przedstawiona wszystkim gościom.

Denhamowie byli jedynymi osobami, które wzbudzały jej zainteresowanie, cieszyła się więc, że może osobiście poznać członków tej rodziny. Uznała przy tym, że goście – a przynajmniej lepsza ich połowa (bo będąc kawalerem, sir Edward mógł się niekiedy jawić jako lepsza część tej pary) – warta jest uwagi. Panna Denham była piękną młodą kobietą, zachowywała się jednak chłodno i z rezerwą; sprawiała wrażenie osoby dumnej ze swojej pozycji i niezadowolonej z niedostatku. Gryzła się głównie brakiem pięknego powozu – przyjechała bowiem do Parkerów zwykłym gigiem, który w dodatku stangret ustawił pod oknem tak, że wciąż miała go przed oczyma. Zachowanie i mina sir Edwarda były daleko weselsze niż siostry. Niewątpliwie należał do przystojnych mężczyzn, tym wszakże, co jeszcze bardziej rzucało się w oczy, było jego nadzwyczaj miłe obejście; obdarzał innych serdecznym zainteresowaniem i starał się na każdym kroku sprawić im przyjemność. Czuł się w gościnie bardzo swobodnie: mówił dużo, często zwracając się do Charlotty, obok której go posadzono. Dziewczyna od razu spostrzegła, że ma on piękną twarz, miły, łagodny głos i talent do konwersacji. Od razu też go polubiła. Będąc sama osobą stateczną, uznała, że jest on nad wyraz sympatyczny; nie potrafiła przy tym oprzeć się wrażeniu, że i on myśli o niej podobnie. Dowodziło tego wielokrotne zlekceważenie dawanych mu przez siostrę znaków, że pora iść: wbrew jej sugestiom nie podniósł się z miejsca i dalej rozmawiał z Charlottą. Nie przeproszę czytelników za próżność mojej bohaterki, której niewątpliwie jego zachowanie sprawiło przyjemność. Jeśli w jej czasach istniały młode damy, którym takie rzeczy były obojętne, ja się z nimi nie zetknęłam – i wielce się z tego cieszę.

Niskie francuskie okna bawialni wychodziły na drogę i wszystkie przecinające dolinę ścieżki, dzięki czemu usadowieni naprzeciw nich Charlotta i Edward nie mogli przeoczyć przechodzących niespodziewanie w pobliżu lady Denham i panny Brereton. W oka mgnienia na twarzy dżentelmena pojawiła się wyraźna zmiana. Rzuciwszy mijającym dom paniom tęskne spojrzenie, zgodził się na wcześniejszą propozycję siostry, by opuścić gościnne progi Parkerów i udać się na spacer na Taras. Odmieniło to gwałtownie wyobrażenie Charlotty na jego temat i uleczyło z trwającego od pół godziny oczarowania. Pozwoliło jej też, już po jego wyjściu, trzeźwiej ocenić, jak bardzo w istocie był sympatyczny.

Maniery i usposobienie ma naprawdę wspaniałe – uznała – a posiadanie tytułu wcale mu nie zaszkodziło.

Bardzo szybko zresztą znalazła się na powrót w jego towarzystwie, gdy tylko bowiem dom jej gospodarzy opuścili ostatni goście, oni sami także postanowili wyjść. A Taras dla wszystkich stanowił wielką atrakcję i każdy spacerowicz od niego właśnie zaczynał przechadzkę. Tam też, na jednej z zielonych ławek rozstawionych wokół wysypanej żwiru alei, znaleźli połączone towarzystwo Denhamów, które – mimo że stanowiło teraz jedną grupę – znowu wyraźnie się podzieliło: starsza dama i panna Esther siedziały w jednym końcu ławki, sir Edward zaś i panna Brereton w drugim. Charlotte wystarczyło jedno spojrzenie, by odgadnąć, że sir Edward jest zakochany w Klarze – jego oddanie dla niej nie budziło wątpliwości. Mniej oczywiste było to, jak dziewczyna przyjmuje jego awanse; chwilami zdawało się bowiem, że niezbyt ją one cieszą. Siedziała obok Edwarda (czemu prawdopodobnie nie mogła zapobiec) ze spokojnym i poważnym wyrazem twarzy.

Młoda dama po drugiej stronie ławki niewątpliwie natomiast odbywała pokutę. Zmiana zachowania panny Denham – różnica między tą panną Denham, która z chłodną wyniosłością siedziała w bawialni państwa Parkerów i z trudem dawała się innym wciągnąć do rozmowy, a tą, która siedziała u boku starej damy, słuchała z uwagą tego, co do niej mówiono, i z uśmiechem odpowiadała na pytania – była uderzająca. I jednocześnie zabawna – lub przygnębiająca, zależnie od tego, czy dało się pierwszeństwo satyrze, czy moralności. Usposobienie panny Denham nie stanowiło dla Charlotty tajemnicy, jej brat natomiast wymagał dłuższej obserwacji. Zaskoczyło ją to, że na widok Parkerów natychmiast porzucił Klarę i całą swą uwagę skierował znowu ku niej.

Starał się trzymać blisko Charlotty i robił wszystko, by, na ile się tylko dało, oddzielić ją od reszty towarzystwa; była przy tym jedyną osobą, którą zaszczycał konwersacją, pełnym wzruszenia tonem rozprawiając o morzu i wybrzeżu. Powtórzył mnóstwo banałów na temat majestatu oceanu oraz wyraził „niemożliwe do wyrażenia” uczucia, jakie budzi on we wrażliwych sercach. Z ożywieniem mówił o tym, jak wspaniale wygląda morze w czasie sztormu i jak jego powierzchnia lśni, gdy się wygładza. Wspominał o mewach i wodorostach, o głębinach i otchłaniach, nagłych zmianach pogody, okrutnych podstępach fal i marynarzach zwabionych promieniami słońca, którzy po wypłynięciu w morze ginęli w odmętach podczas nawałnicy. W tym, co opowiadał, nie było nic oryginalnego, ale mimo to w ustach przystojnego sir Edwarda nawet frazesy brzmiały dla Charlotty interesująco. Uznała tedy, że jest człowiekiem niezwykle wrażliwym – póki nie zaczął jej zamęczać licznymi cytatami z poezji.

– Czy pamięta pani – zapytał – jak pięknie pisał o morzu Scott? Cóż za wspaniały opis! Zawsze przychodzi mi na myśl, kiedy tędy spaceruję. Człowiek, który potrafi przeczytać te słowa bez wzruszenia, musi mieć nerwy ze stali! Wolałbym nie spotkać kogoś takiego, jeśli nie będę miał przy sobie broni.

– O jaki wiersz panu chodzi? – zdziwiła się Charlotta. – Nie pamiętam, bym w którymkolwiek z poematów Scotta natrafiła na opis morza.

– Naprawdę? Ja też nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć tytułu. Ale opis kobiety pamięta pani na pewno: „*Och! Kobieto w godzinie naszego spokoju...*” Wspaniale, naprawdę wspaniale. Nawet gdyby nie napisał nic więcej i tak pozostałby nieśmiertelny. I jeszcze te nie mające sobie równych wersy o rodzicielskiej miłości: „*Dano śmiertelnikom i takie uczucia, w których mniej ziemi, a więcej jest nieba...*”² A skoro już jesteśmy przy poezji, co sądzi pani, panno Heywood, o strofach Burnsa, poświęconych jego Mary? Jest w nich patos, który może przyprawić o utratę zmysłów! Jeśli na świecie istniał człowiek, który naprawdę czuł, był nim z pewnością Burns. Montgomery posiadał cały ogień poezji, Wordsworth odgadł jej prawdziwą duszę, a Campbell w swych „Rozkoszach nadziei” dotyka naszych najgłębszych uczuć: „*Jak odwiedziyny anioła, zarazem rzadkie i dalekie*”... Czy można wyobrazić sobie coś bardziej poruszającego i rzewnego, bardziej tchnącego wzniosłością niż ten wiersz? Ale

² Cytat z poematu Scotta „Marmion”.

Burns... Wyznam pani, czemu cenię go wyżej od innych, panno Heywood. Jeśli Scott ma jakąś wadę, jest nią brak namiętności. Jest łagodny i elegancki, ale nudny. Mężczyzna, który nie potrafi oddać sprawiedliwości przymiotom kobiety, budzi we mnie pogardę. Czasem wszelako opromienia go blask uczucia i wtedy wśród strof błysnie taka: „*Och! Kobieto w godzinie naszego spokoju*”. Burns jednak zawsze płonie ogniem. Jego dusza jest ołtarzem, na którym umieszcza ukochaną kobietę, a duch wdycha woń należnego jej nieśmiertelnego kadzidła.

– Czytałam kilka wierszy Burnsa i byłam zachwycona – przyznała Charlotta, gdy tylko rozmówca dał jej dojść do głosu. – Nie mam jednakże dostatecznie poetyckiego usposobienia, by całkowicie oddzielić poezję od charakteru jej twórcy. Dlatego świadomość występków nieszczęsnego Burnsa psuła mi radość czytania jego wierszy. Trudno mi było uwierzyć w szczerłość jego miłosnych uniesień. Nie sądziłam, by opisywane przezeń uczucia były prawdziwe. Poczul coś, opisał – a potem zapomniał.

– Och, nie, nie! – zaprzeczył gorąco sir Edward. – Był żarliwy i całkowicie szczery. Jego geniusz i wrażliwość mogły poniekąd sprowadzić go na złą drogę – ale któż jest doskonały? Oczekiwanie od najwyższego geniuszu, że zechce schlebiać prostym umysłom, byłoby hiperkrytycyzmem i pseudofilozofią. Przebłyśki talentu, wywołane namiętnym uczuciem, szalejącym w sercu kochanka, nie współgrają być może z prozaiczną przyzwoitością, ale ani pani, najmilsza panno Heywood – (sir Edward wypowiedział te słowa z miną świadczącą o jego głębokiej sympatii) – ani żadna inna kobieta nie może sprawiedliwie osądzić tego, co mówi, pisze lub czyni popychany najwyższą, nieokiełznaną namiętnością mężczyzna.

Były to słowa bardzo piękne, choć – na ile Charlotta zdołała je pojąć – niezbyt moralne. Nie zachwycał jej przy tym wcale ów niezwykle sposób prawienia komplementów, odpowiedziała więc poważnie:

– Istotnie, niewiele o tym wiem. Cóż za uroczy dzień – dodała, zmieniając temat. – Wydaje się, że wiatr musi wiać z południa.

– Szczęściarz z tego wiatru, że zajął myśli panny Heywood! – wykrzyknął jej rozmówca, ona zaś doszła do wniosku, że ma do czynienia z zupełnym głupcem. Zorientowała się też, że sir Edward zamierza towarzyszyć jej w czasie spaceru, by w ten sposób zrobić przykrość pannie Brereton – Charlotta wyczytała to z niechętnego spojrzenia, jakim ją obrzucił. Czemu jednak wygadywał takie bzdury, skoro w niczym nie mogło mu to pomóc? Nie rozumiała tego. Sir Edward sprawiał wrażenie bardzo sentymentalnego, łatwo poddającego się uczuciom. Z upodobaniem używał przy tym nowomodnych słów. Charlotta doszła do wniosku, że nie cechuje go zbyt lotny umysł, a większość rzeczy mówi bez głębszego namysłu. Uznała, że w przyszłości będzie być może skłonna do większej wyrozumiałości, ale teraz, słysząc propozycję, by udali się razem do biblioteki, poczuła, że ma – jak na jeden dzień – całkiem dosyć sir Edwarda. Z wdzięcznością przyjęła tedy zaproszenie lady Denham do pozostania razem z nią na Tarasie.

Wszyscy inni odeszli – także sir Edward, który wydawał się głęboko zrozpaczony odmową Charlotty – i obie panie, zostawszy same, miały okazję wykorzystać swoje towarzyskie umiejętności: lady Denham, jak każda prawdziwie wielka dama, cały czas mówiła o sobie, panna Heywood zaś słuchała jej z rozbawieniem, rozmyślając o tym, jak wielce różni się między sobą dwójka jej ostatnich rozmówców. W tym, co mówiła lady Denham, nie było żadnych budzących wątpliwości czy trudnych do zrozumienia zdań. Ze swobodą kogoś, kto wie, że każdy jego gest zostanie przez innych poczytany za zaszczyt, ujęła Charlotte pod ramię i tonem wielkiego zadowolenia – jak przystało na osobę świadomą swego znaczenia lub po prostu uwielbiającą mówić – powiadomiła ją, że panna Esther liczy na to, iż, tak jak zeszłego lata, zostanie zaproszona wraz z bratem na tydzień do Sanditon House. Jej słowom towarzyszyło szelmowskie spojrzenie.

– A ja wcale ich u siebie nie chcę – wyznała. – Nie będą odstępować mnie nawet na krok, chwalać wszystko, co robię. Ale ja i tak wiem, o co im chodzi. Przejrzałam ich wszystkich. Niełatwo mnie nabrać, moja droga.

Charlotta nie znalazła na to lepszej odpowiedzi jak tylko upewnienie się, że chodzi o sir Edwarda i pannę Denham.

– Tak, moja złota. Chodzi o moich młodych krewnych, jak ich czasem nazywam. Zeszłego lata o tej właśnie porze gościłam ich przez tydzień u siebie: od poniedziałku do poniedziałku. Byli zachwyceni i bardzo wdzięczni; to w gruncie rzeczy mili ludzie. Nie chcę, żebyś myślała, że przestaję z nimi tylko ze względu na biednego sir Harry’ego. To nieprawda. Zasługiwaliby na to dla nich samych, gdyby tylko nie starali się tak wiele czasu spędzać w moim towarzystwie. Nie należę do kobiet, które bez zastanowienia pomagają innym. Zanim zegnę palec, zawsze wiem, o co chodzi i z kim mam do czynienia. Nie sądzę, bym choć raz w życiu dała się okpić. A to już dużo jak na kobietę, która dwa razy wychodziła za mąż. Biedny, drogi sir Harry, mówiąc między nami, miał początkowo nadzieję, że dostanie ode mnie więcej. Ale – westchnęła lekko – odszedł, a nam nie wolno obwiniać się za jego śmierć. Nie było doprawdy szczęśliwszej od nas pary. Mój mąż należał do ludzi ze wszech miar godnych szacunku, jak przystało na syna starego rodu. A kiedy umarł, podarowałam sir Edwardowi jego złoty zegarek.

Mówiąc to, popatrzyła na swą towarzyszkę takim wzrokiem, jakby sprawdzała, czy jej słowa wywrą na niej odpowiednio głębokie wrażenie. Nie dostrzegłszy jednak na twarzy Charlotty zaskoczenia, dodała szybko:

– On wcale nie zapisał go bratankowi; w testamencie nie było na ten temat ani słowa. Raz tylko wspomniał, że chciałby, ażeby jego zegarek stał się własnością Edwarda. Ale gdybym sama tego nie chciała, nie musiałabym mu go dawać.

– Jakież to miłe z pani strony! Naprawdę wspaniałe! – oświadczyła Charlotta, zmuszona do udawania podziwu.

– Owszem moja droga. I nie jest to jedyna rzecz, jaką dla niego zrobiłam. Byłam dla sir Edwarda naprawdę wyrozumiałą przyjaciółką. A biedny młodzieniec naprawdę tego potrzebował. Bo choć ja jestem jedynie wdową, a on dziedzicem tytułu, sprawy nie układają się między nami tak, jak zwykle dzieje się to w podobnych sytuacjach. Nie dostałam ani szylinga z majątku Denhamów; sir Edward nie wypłacił mi nawet pensa. Nie powodzi mu się najlepiej, wierzaj mi. I to ja pomagam jemu, a nie odwrotnie.

– Naprawdę? To bardzo miły młody człowiek. Ma nienaganne maniery.

Wypowiedziała te słowa jedynie po to, by coś powiedzieć, szybko jednak spostrzegła, że obudziły one w lady Denham podejrzenia.

– Owszem, miło się z nim rozmawia – przyznała, patrząc na nią przenikliwie. – I mam nadzieję, że jakaś majątna dama również dojdzie do takiego wniosku. Bo sir Edward musi korzystnie się ożenić. Wielokrotnie z nim na ten temat rozmawiałam. Taki przystojny mężczyzna jak on może się uśmiechać i prawić dziewczętom komplementy, ale ożenić musi się dla pieniędzy. Na szczęście sir Edward jest w gruncie rzeczy młodzieńcem nader rozważnym i nie ma nic przeciwko temu.

– Jestem niemal pewna, że przy tak wielkich osobistych zaletach sir Edward, jeśli tylko zechce, zdobędzie majątną kobietę – oświadczyła Charlotta.

To pochwalne stwierdzenie rozwiało podejrzenia starej damy.

– Bardzo rozsądnie to zauważyłaś, moja droga – skinęła głową. – Gdybyśmy tylko mieli w Sanditon jakąś młodą dziedziczkę! Ale dziedziczki to teraz rzadkość! Nie sądzę, by znalazła się tu choć jedna, odkąd to miasto stało się miejscem publicznym. Nie ma nawet takiej, która chociaż współdziedziczyłaby majątek. Przyjeżdżają tu liczne rodziny, ale, o ile wiem, na sto takich rodzin nie ma ani jednej, która rzeczywiście posiadałaby jakiś majątek – czy to dobra ziemskie, czy pieniądze. Może dochody tak, ale nie majątek. Bywają tu wprawdzie pastorzy i